

TYM WSZYSTKIM, KTÓRZY PRZESTALI
WIERZYĆ W MIŁOŚĆ

Dźwięk klaksonu zlał się z piskiem hamulców, kierowca ciemnoniebieskiego forda wymownie postukał palcem w czoło.

– Skąd biorą się na świecie takie idiotki?! – krzyknął przez otwarte okienko. – Zabijesz kiedyś siebie albo innych!

Serce poczułam w gardle. Co ja wyczyniam, do diabła? Zazwyczaj jeżdżę rozważnie i spokojnie, bo dobrze wiem, że ze mnie żaden kierowca. Nie lubię prowadzić. Jeżdżę, bo muszę, inaczej nie dałabym rady wszystkiego pogodzić. Pośpiech zawsze mnie dekoncentruje i rozprasza. Wieczorem wybieraliśmy się z Krzyśkiem do teatru. Dawno nie byliśmy nigdzie razem. Od rana wszystko szło jak po grudzie. Hania marudziła przy wstawaniu. Spóźniłam się do pracy. Miałam dużo pacjentów. Musiałam zostać dłużej. Na wjeździe do miasta był korek. Na Bielanach stałam na każdych światłach po trzy cykle świetlne. Kiedy nareszcie zrobiło się luźniej, ruszyłam szybciej. Nie zwolniłam przed rondem, wymusiłam pierwszeństwo, centymetry dzieliły mnie od poważnej stłuczki. Wszystko przez jakiegoś palanta, który już od kilkunastu minut jechał za mną i raz po raz pogaśniał mnie długimi światłami. Zjechałam z ronda, i on też zjechał. Zwolniłam, chciałam, żeby mnie wyprzedził. Nie cierpię nerwowych kierowców, którym zawsze

się gdzieś spieszy. Ja zwolniłam, i on zwolnił. Wlekł się za mną trzydzieści na godzinę, raz po raz migając światłami. Przyszło mi na myśl, że on próbuje mnie zatrzymać. W pierwszej chwili pomyślałam, że to jakiś psychopata. Przyspieszyłam, i on przyspieszył, zwolniłam, i on zwolnił, skręciłam w boczną, skręcił za mną. Jeszcze jeden skręt i jeszcze jeden. Ten srebrny samochód cały czas jechał za mną. Trzymał się kilkanaście metrów ode mnie. „Uparł się na mnie – pomyślałam coraz bardziej rozdrażniona. – Świat jest pełen popaprańców”. Przyhamowałam gwałtownie. Samochód się zatrzymał. Jadący za mną pojazd też stanął. Postanowiłam wysiąść. „Może coś jest nie tak z tym moim autem?” – pomyślałam. Kiedyś już tak było, parę lat temu. Jechałam do pracy, a jakiś kierowca raz po raz migał za mną długimi światłami. Podszedł do mnie, kiedy zatrzymałam się na czerwonym świetle.

– Nie widzi pani, że próbuję panią zatrzymać? – warczał rozdrażniony. – Za chwilę koło pani odpadnie. Chodzi na boki. Jakiś osioł musiał je wymieniać... Kobiety są nieobliczalne, ufają każdemu.

Dobrze, że wtedy zdołałam dojechać do pracy. Śruby były tak luźne, że można je było odkręcać palcami. Nigdy już później nie wymieniałam sama kół w samochodzie. Wolałam być słabą blondynką, która nic nie potrafi, niż pozornie silną kobietą, której się tylko wydaje, że wszystkiemu podoła. Pomyślałam, że samochód to w końcu nie tylko koła, może tym razem coś kapie, leje się, dymi, spada... Wysiadłam z auta. Jadący za mną mężczyzna też wysiadł. Ruszyłam w jego stronę. On ruszył w moją. Spojrzałam na niego i nagle poczułam serce w gardle. Świat zawirował dookoła. Wydawało mi się, że brakuje mi powietrza. Nogi miałam

miękkie jak z waty. „Niemożliwe – pomyślałam. – Takie rzeczy dzieją się tylko w filmach. W normalnym życiu nie zdarzają się takie przypadki. W każdym razie nie w moim”. Moje życie było od pewnego czasu poukładane, przewidywalne, uporządkowane, bezpieczne i nudne. Pomyślałam, że to tylko głupia wyobraźnia płata mi figle, drwi sobie ze mnie. To przecież nie może być Łukasz. Ten idący w moim kierunku mężczyzna musi być tylko do niego odrobinę podobny. W świetle leniwie rozżarzających się latarni wszystko wydaje się zawsze nieostre i zamglone. Wyobraźnia oszukuje zmysły. Podobne wzrost, sylwetka, sposób poruszania się, za długie kręcone włosy... Przyszło mi na myśl, że jestem szalona. Zatrzymałam się o zmroku na zupełnie pustej ulicy w willowej części miasta. Tą drogą o zmierzchu z rzadka przejeżdżają samochody. Prawie nikt wtedy nie chodzi. Mieszkańcy już dawno wrócili po pracy do domów. Do ulicy przylegają płoty, domy cofnięte są w głąb dużych ogrodów. W oknach oddalonych od ulicy domów powoli zapalały się pierwsze światła. Pomyślałam, że jestem kopnięta, że brakuje mi instynktu samozachowawczego, bo zatrzymałam się na takim odludziu tylko dlatego, że jadący za mną samochód migał długimi światłami. Odwróciłam się na pięcie. Szybkim krokiem ruszyłam w kierunku swojego auta.

– Martyna!

Głos za moimi plecami wydał mi się znajomy. Pasował do sylwetki, sposobu poruszania się, włosów... „Ależ gównie! – pomyślałam. – Że też właśnie dzisiaj musiało mi się coś takiego przytrafić, kiedy wybieramy się z Krzyśkiem do teatru”.

– Martyna!

Nie odwróciłam się. Mierzyłam wzrokiem odległość dzielącą mnie od otwartych drzwi mojego samochodu.

– Martyna! – usłyszałam tuż za placami. – Poczekaj! Zatrzymaj się! Co za przypadek! Co za niesamowity zbieg okoliczności...

Coś kazało mi się jednak odwrócić. To coś to nie był na pewno rozsądek. Ten sam głos, te same usta, te same ciemne włosy, cień zarostu na twarzy, ciemnie brwi, niepasujące do włosów niebieskie oczy, ciepły uśmiech... Wszystko takie jak kiedyś, tylko czas był już zupełnie inny. Minęły cztery lata. Wszystko oddaliło się i wyblakło, burzę emocji zastąpiła poukładana, logiczna, zaplanowana i bezpieczna codzienność. Spokojne życie bez wielkich wzlotów, ale i bez upadków, bez zbędnych emocji, które potrafią rzucić na kolana i wdeptać w ziemię. Cisza, spokój, stabilizacja.

– Cześć – wykrztusiłam niepewnie.

– Cześć – odpowiedział, nie odrywając ode mnie oczu.

Jego wzrok przesunął się po mojej twarzy, omiatał włosy, zsuwał się po ramionach, wędrował w kierunku koronkowej, pozornie grzecznej bluzki i przykrótkiej spódnicy, ślizgał się po nogach, musnął białe stopy wciśnięte w rzemyki sandałów. Poczułam się nieswojo. Serce biło mi jeszcze szybciej. Świat jeszcze mocniej wirował. „To moje serce to jakiś idiota – pomyślałam. – Ono niczego się nie uczy i niczego nie rozumie”.

– Co za niesamowity przypadek... – Głos Łukasza przebił się przez moje myśli. – Nie mieszkam już we Wrocławiu. Przyjechałem tu tylko coś załatwić – mówił pospiesznie, jakby się bał, że mu przerwę, że odwrócę się i odejdę, zanim zdąży mi cokolwiek powiedzieć. – Do niedawna każdego dnia jeździłem przez tę dzielnicę. Liczyłem na to, że przyjeżdżasz

czasami odwiedzać rodziców. Chciałem cię zobaczyć chociaż z daleka. Chciałem się przekonać, że u ciebie wszystko dobrze...

Stałam jak wryta i gapiłam się na niego. Ponoć kocha się nie sercem, a rozumem. Mój rozum widocznie kolejny raz miał sjętę.

– Dzisiaj też przejechałem obok tego domu... Zwolniłem jak zawsze. Nic... Ogród jak ogród, kwiaty takie same jak kiedyś, tylko przez te lata żywopłot urósł i zgęstniał. Kierowałem się już na zjazd na autostradę, kiedy zobaczyłem ciebie jadącą z naprzeciwnika... Zawróciłem... Niesamowity zbieg okoliczności... Bóg mi sprzyja.

Pomyślałam, że ja bym nie mieszała w to spotkanie Pana Boga. Lepiej, żeby dobry Bóg o tym spotkaniu nic nie wiedział. Łukasz zamilkł na chwilę. Stał tuż obok, na wyciągnięcie ręki. Nie spuszczał ze mnie wzroku. Nie przestawał mi się przyglądać. Ten jego wzrok z minuty na minutę przeszkadzał mi coraz bardziej i coraz bardziej mnie krępował.

– Co u ciebie? – zapytałam cicho.

– Wszystko dobrze – odpowiedział odruchowo. – A u ciebie?

– Wszystko dobrze – odparłam pośpiesznie. – Parę miesięcy temu moi rodzice wyjechali. Zdecydowali się na starość zamieszkać na wsi. Zostawili mi dom. Postanowiliśmy wrócić do Wrocławia. Pracuję na immunologii u profesora Krzysiaka... Jesienią zdaję specjalizację z interny...

– Postanowiliście wrócić? – powtórzył za mną.

W pierwszej chwili go nie zrozumiałam. Wybrał z szeregu zdań tylko to jedno, jakby ono było dla niego najważniejsze.

– Co w tym dziwnego? – zapytałam zaskoczona. – Zawsze lubiłam Wrocław.

– Niby nic – powiedział z ociąganiem. – Uderzyła mnie ta liczba mnoga...

– Hania, Krzysztof i ja.

– Rozumiem – warknął.

Udałam, że nie słyszę jego tonu, nie zauważam nagle zmrużonych oczu i dłoni, które zamknęły się w pięści.

– A ty? – zapytałam.

– Co ja? – burknął.

– Jak tobie ułożyło się życie?

– Podobnie jak twoje – wycedził powoli przez zaciśnięte zęby. – Dzielę je z Małgorzatą i Borysem. Borys ma trzy lata.

– To dobrze – powiedziałam niepewnie. Zabrzmiało to nieszczerze. Nie wiem, dlaczego nagle zrobiło mi się przykro, jakby to, że w jego życiu pojawili się Małgorzata i Borys miało dla mnie jakieś znaczenie.

Nie odrywał oczu od mojej twarzy. Ja też nie mogłam odebrać od niego wzroku. Te usta, te oczy, te włosy... Kiedyś takie bliskie. Później wszystko odmienił zły czas. Nie pamiętam, jak to się stało, że znalazłam się w jego ramionach. Poczułam jego usta na moich ustach, jego ręce odgarniające moje włosy, znajomy zapach ambry i drzewa sandałowego, ciepły oddech...

– Nic nie jest dobrze – usłyszałam szept tuż przy moim uchu. – Wszystko jest do niczego. Jak mogliśmy tak zniszczyć nasze życie? Jak mogliśmy to wszystko tak spaprać?

SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ

– Mam dla ciebie pewną propozycję.

Ojciec Łukasza posadził mnie w głębokim fotelu. Sam usiadł po drugiej stronie ławy. Przyglądał mi się uważnie. Jego wzrok omiatał mnie od stóp do głów. Nigdy wcześniej mi się tak nie przyglądał. Zwykle mnie ignorował. Byłam dla niego kolejną dziewczyną, z którą spotykał się Łukasz, jakimś krótkim, nic nieznaczącym epizodem w życiu jego syna. Tamtego dnia było nagle inaczej.

– Łukasz mówił, że studiujesz medycynę – powiedział niespodziewanie. – Jesteś ponoć na czwartym roku, należysz do wąskiego grona wybitnie zdolnych studentów – mówił powoli, wyraźnie akcentując każdy wyraz. Wyglądało to tak, jakby oczekiwał, że po każdym słowie przytaknę. – Masz ponoć stypendium za wyniki w nauce, działasz w kołach naukowych, biegasz na internę na wolontariat, zaliczasz egzaminy w przedterminach... – Zawiesił na chwilę głos i czekał na to, co powiem. Nie miałam nic do powiedzenia. – Podobno mimo to zostaje ci jeszcze odrobina wolnego czasu... – dokończył niespodziewanie.

Dziwny był ten jego monolog. Zaskakiwał i budził niepokój. Na co dzień ojciec Łukasza traktował mnie jak powietrze, jak coś, czego się nawet nie zauważa. Bywało, że mijaliśmy się przypadkiem w tym ich dużym, zimnym domu. Parę razy czułam na sobie niechętne spojrzenie jego szarych i lodowatych oczu. Przez niego nie lubiałam bywać u Łukasza. Tam zewsząd wiało chłodem. Do nieskazitelnej białoszarej tonacji ścian i mebli nie pasowały moje powiewne sukienki, krótkie spódnice, powycierane spodnie i krzyczące kolorami bluzki. Czułam się w tym domu jak zamknięty w klatce egzotyczny motyl. Ja i ten dom nie pasowaliśmy do siebie. Pamiętam dzień, kiedy poznałam ojca Łukasza. Tego

pierwszego spotkania chyba nigdy nie uda mi się zapomnieć, zastąpić go czymś ciepłym i miłym. Było to parę miesięcy temu. Wracaliśmy z Łukaszem z późnowiosennego spaceru po parku. Jeszcze miałam pod powiekami wszechobecną zieleni, promienie słońca tańczące po powierzchni stawu, nieskazitelny błękit nieba, w uszach słyszałam świergot ptaków, czułam jeszcze woń pierwszych herbacianych róż zmieszaną z miodowym zapachem kwitnących lip. Byłam szczęśliwa, rozleniwiona i rozmarzona. Właśnie weszliśmy roześmiani do ich domu i w drzwiach wpadliśmy na ojca Łukasza. „Tato, to Martyna” – przedstawił mnie Łukasz. Pan Marczyński obrzucił mnie niechętnym spojrzeniem. Nawet nie skinął głową. „Spieszę się – rzucił w kierunku Łukasza. – Postawiłeś swój samochód na podjeździe. Prosiłem już wiele razy, żebyś tego nie robił. Nie mogę wyjechać”... Tak wyglądało nasze pierwsze spotkanie. Później nigdy nie było lepiej, aż do dzisiaj. Dzisiaj nagle mnie zauważył i postanowił zaszczyścić rozmową.

Raptem zamilkł. W ciszy słysząc było miarowe tykanie zegara. Denerwowało mnie jego spojrzenie. Krępowało i drażniło. Przyglądał mi się bezczelnie i nachalnie. Omiałał wzrokiem moją twarz, przenosił go na dekolt sukienki, ślizgał się nim po ramionach i opiętych materiałem biodrach, schodził w dół, na być może za odważnie odsłonięte uda. Poczułam się tak, jakbym była niestosownie ubrana. Prawie naga. Odruchowo obciągnęłam sukienkę, przysłoniłam ręką dekolt. Tę niebieską sukienkę do wysokich botków włożyłam z myślą o wyjściu do kina. Mieliśmy z Łukaszem kupione bilety na dwudziestą. Umówiliśmy się u niego w domu. Łukasz chciał się przebrać po treningu. Stąd mieliśmy samochodem pojechać do kina.

Łukasza nie było, za to drzwi niespodziewanie otworzył mi jego ojciec. Chciałam poczekać na zewnątrz. Zaprosił mnie do środka. Wprowadził do salonu. Zaproponował filiżankę kawy, posadził w fotelu i z niezrozumiałych dla mnie powodów zaczął tę rozmowę. W tym wszystkim było coś dziwnego, coś, co wzbudziło moją czujność. Postanowiłam przerwać trwające od paru minut milczenie.

– Łukasz przesadza...

– W czym przesadza?

– Różnie bywa z tym czasem...

– Słyszałam, że udzielasz korepetycji – wszedł mi w słowo. Zabrzmiało to trochę jak zarzut.

– Czyżby widział pan w tym coś niestosownego? – zaczęłam się odruchowo bronić.

– Nie – roześmiał się. – To jest nawet ciekawe... Skąd nagle u młodej kobiety taka chęć do dzielenia się wiedzą z innymi?

– Nie ma w tym nic ciekawego – odpowiedziałam pospiesznie. – Otrzymuję stypendium naukowe, ale to za mało, żeby się utrzymać w dużym mieście. Moi rodzice mają inne priorytety. Muszę liczyć na siebie... Korepetycje to praca. Sposób pozyskiwania niezbędnych do życia pieniędzy.

– Słyszałam, że przygotowujesz do matury...

– Udzielam korepetycji z biologii, chemii, fizyki. Uczę języka niemieckiego...

– I co? Zdają ci twoi uczniowie?

– Zdają.

– Słyszałam, że od ponad roku przygotowujesz też do egzaminów wstępnych...

– Przygotowywałam.

– Zdali?

– Zdali i zostali przyjęci. Trzeba było ich tylko trochę ukierunkować, dodać pewności siebie...

Nic nie odpowiedział. Miałam wrażenie, że przestał mnie słuchać. Zapatrzył się na szarobury świat za oknem. Właśnie od paru dni była odwilż. Gdzieś tam leżały jeszcze brudne i ciężkie od wilgoci łąty śniegu. Taka najbrzydsza pora roku – ni to zima, ni to wiosna, brzydkie, mokre i pozbawione kolorów przedwiośnie.

– Nie wiem, czy wiesz, że Łukasz przed laty zdawał na medycynę – odezwał się po chwili. – Nie dostał się. Zabrakło mu punktów. Był na liście rektorskiej, ale i tak się nie udało. Bardzo to przeżył...

Nie wiedziałam. Zapomniał mi chyba o tym powiedzieć, a może nie chciał. Poznaliśmy się, kiedy ja byłam na trzecim roku medycyny, a on na czwartym roku fizjoterapii na fikołkach, jak mówił lekceważąco o swojej uczelni. Ta jego uczelnia nie była mu do niczego potrzebna. Przynajmniej on tak twierdził. Frustrowała go i drażniła. Poznaliśmy się na marcowych zawodach narciarskich wrocławskich szkół wyższych. On startował w zjeździe w barwach AWF-u. Ja reprezentowałam Akademię Medyczną. Po zawodach był wspólny wieczór przy rozpalonym przed schroniskiem ognisku. Byłam cudownie zmęczona. Stopy odpoczywały po zdjęciu butów narciarskich, mięśnie nóg drżały ze zmęczenia, za to myśli płynęły leniwie i wolno. Wszystko nagle oddaliło się i wyblakło, na chwilę straciło swoje znaczenie. Liczyły się tylko ta chwila, pachnący cynamonem i goździkami grzaniec, boskie zmęczenie, gwar rozmów, niebieskie cienie drzew kładące się nieregularnymi plamami na iskrzące się białą połacie śniegu. Słońce schowało się za górami.

Jego ostatnie promienie jeszcze na chwilę rozświeciliły niebo. Szybko zaczął zapadać zmrok. Lubiłam takie chwile, kiedy ręce można było ogrzać o ciepły kubek, wesołe płomyki pełzały po gałęziach, tysiące iskier leciały w kierunku coraz bardziej granatowiejszego nieba. Powoli pojawiały się pierwsze gwiazdy. Wyglądały jak iskry z naszego ogniska osadzone na nieboskłonie. To był taki wymarzony wieczór po pełnym wrażeń dniu. Ktoś przyniósł ze schroniska gitarę. Ktoś ustawił ławki dookoła paleniska. Jakiś chłopak o ciepłym głosie zaczął śpiewać o zimowej miłości, która potrafi roztopić najgrubszy lód i rozgrzać najbardziej zmarznięte i samotne serce. Ktoś inny mu zawtórował. Po chwili pierwsze pary zaczęły pisać w rytm muzyki. Pamiętam, jak Łukasz podszedł do mnie, stanął tuż obok, oparł się plecami o balę budującą ścianę schroniska.

– Twoje zdrowie. – Podniósł w górę kubek z grzańcem. – Świetnie jeździsz. Wyprzedziłaś wszystkie dziewczyny z naszej uczelni... Jeszcze nigdy w tych zawodach AWF nie przegrał z medyczną... To zaskakujące.

– Co w tym zaskakującego? – zapytałam. – To, że jakaś kurka z medycyny jeździ na nartach lepiej niż laski z AWF-u?

– Ja tego nie powiedziałem. – Uśmiechnął się.

Ten jego uśmiech był bardzo ciepły. Właściwie wtedy rzucił mi się w oczy tylko ten uśmiech. Wszystko inne odkrywałam później. Niebieskie oczy, ciemne, lekko kręcone, zawsze za długie włosy, osmaganą słońcem twarz, mocne dłonie i mocne ramiona...

– Nie powiedziałeś, ale pomyślałeś...

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło – zaprzeczył.

– Naprawdę?

– Naprawdę – potwierdził gorliwie, nie przestając się uśmiechać.

– A jednak nie wierzę... Nie znasz tego? Ponoć brzydkie kujony idą na medycynę, babochłopy na politechnikę, szukające przygód na uniwersytecie, szukające mężów na Akademię Rolniczą, żądne forsy na Akademię Ekonomiczną, a namiętne, wysportowane i seksowne na AWF.

– Słyszałem... – Przyglądał mi się rozbawiony. – Bzdury. A gdzie idą, twoim zdaniem, piękne, mądre, seksowne i wysportowane? – zapytał z uśmiechem.

– Nie studiują – zaczęłam się śmiać. – Układają sobie życie prościej i wygodniej...

– Co ty powiesz? – Wyglądał na zaskoczonego. – A ja myślałem, że zdarzają się na każdej uczelni, są jak egzotyczne kwiaty, należy je chronić i wspierać, strzec ich, bo należą do zjawisk rzadkich i wyjątkowych.

Rytmiczne dźwięki gitary przeszły w jakieś rzewne tony. Do pobrękiwania strun dołączył się słodki głos fletu. Płasający przy ognisku młodzi ludzie zaczęli się kołysać w parach w rytm rzewnej melodii o miłości.

– Zatańczysz? – zapytał.

Nie zdążyłam odpowiedzieć, kiedy chwycił mnie za rękę i pociągnął w krąg tańczących. To było dziwne. Tańczyliśmy tak, jakbyśmy znali się od dawna, jakby nasze ciała przetańczyły z sobą już wiele nocy. Rozumieliśmy się bez słów. Jego biodra przy moich biodrach, jego ręce przesuwające się po moim ciele, moja głowa przy jego ramieniu. Jego oddech tuż przy moim uchu. Pomyślałam, że on fantastycznie tańczy, że mogłabym z nim przetańczyć całą noc. Lubię tańczyć. Taniec to dla mnie emocje – zauroczenie, nieśmiałość, zdziwienie, lęk

i niepokój w okolicach serca. W każdy taniec zakłętą jest niepewność, ciekawość i radość... Ponad dźwięk gitary przebiegał się głos solisty. Ciepły głos śpiewał kolejną piosenkę o miłości. Odruchowo wtuliłam się mocniej w Łukasza. Usłyszałam cichy szept tuż przy uchu.

– Nie tylko dobrze jeździsz na nartach. Chyba nasze ciała pasują do siebie. Czujesz tę magię? Byłbym gotów pójść z tobą...

Nie dałam mu dokończyć. Zesztywniałam nagle w jego ramionach. Poczułam się nim rozczarowana. Nie wyglądał na palanta, a jednak się nim okazał. Pomyślałam, że intuicja zaczęła mnie zawodzić. Wyglądał tak sympatycznie, a to jakiś tani lowelas ze studenckiego klubu, marzący o szybkim numerku z nową cizią. Coś z rodzaju: poznałem, przeleciałem, zapomniałem... Nawet nie zapytał mnie o imię. Szukał paru wrażeń, tanich pieszczot i rozładowania emocji po pełnym adrenaliny dniu. Idiota! Nie byłam jeszcze ani tak zmęczona, ani tak pijana. Mam swoje zasady. Przygodny seks nie leży w kręgu moich zainteresowań. Odepchnęłam się od niego lekko. Odskoczył ode mnie jak oparzony.

– Szukasz laski na dzisiejszą noc? – zapytałam.

Nie odpowiedział. Przyglądał mi się zaskoczony.

– Akurat nie myślałem o dzisiejszej nocy – powiedział po chwili. – Szukam...

Nie miałam ochoty słuchać, kogo szuka. Nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Głupi palant.

– W złe drzwi pukasz – powiedziałam chłodno. – Marnujesz czas. Nie bawią mnie szybkie numerki ani przygodne znajomości... To nie w moim stylu...

– Czy jest tu ktoś, kto rzuci się teraz na mnie z pięściami? – zapytał, rozglądając się dookoła.

– Ja, jeżeli nie zabierzesz łap z mojego pośladka...

Ktoś zachichotał za naszymi plecami. Musiał usłyszeć tę naszą rozmowę.

– Łuki, chodź do nas! – krzyknęła jakaś dziewczyna z grupki stojącej przy wejściu do schroniska. – Opijamy twoje zwycięstwo na stoku!

Nawet nie drgnął. Nie spojrzał w tamtą stronę. Stał tuż przy mnie. Jego ręce nie pieściły już moich pośladków. Wbił je w kieszenie ocieplacza. Spojrzał na mnie spođe łba.

– Przepraszam... – powiedział pod nosem. – Żle mnie rozumiałaś... Chciałem powiedzieć coś zupełnie innego...

Właśnie miałam się odwrócić i odejść, kiedy tuż obok wyrósł jak spod ziemi Krzysiek.

– Martynka, dasz się porwać? Właśnie grają ten twój ulubiony kawałek... Nie mogłem cię znaleźć.

Dałam się porwać. Przetańczyłam z Krzyskiem cały wieczór. Dałam mu się przytulać i trzymać za rękę. Pocałowałam go nawet. Nic wielkiego, przyjacielskie muśnięcie ustami policzka. Czułam na sobie spojrzenia Łukasza. Stał w grupie swoich znajomych, rozmawiał, śmiał się, pił grzańca, ale raz po raz ścigał mnie wzrokiem. Kiedy przechodziłam obok nich, usłyszałam głośny szept wieszającej się na jego ramieniu dziewczyny.

– Łuki, odpuść. To jest góra lodowa. Chyba nie chcesz być Titanikiem?

Jak to było z tymi dziewczynami z AWF-u? Namiętne, wysportowane i seksowne...? W przypadku tej trzeba byłoby dodać, że napalone. Nad ranem Krzysiek odprowadził mnie pod drzwi mojego pokoju.

– Dziękuję! – powiedziałam. – Uratowałeś mój dzisiejszy wieczór.

– Nie ma za co – powiedział ciepło. – Przecież wiesz, że możesz na mnie zawsze liczyć.

– Wiem, jak zawsze do usług i jak zawsze bez żadnych zobowiązań.

Krzysiek był moim kumplem z uczelni. Byliśmy w jednej grupie. Przyjaźniliśmy się od pierwszego roku. Graliśmy razem w tenisa, jeździliśmy na nartach, włóczyliśmy się po górach. Czasami odprowadzał mnie po zajęciach do domu. Od czasu do czasu szliśmy razem na jakąś imprezę. Bywało, że wybraliśmy się razem na piwo. Był moją bratnią duszą, moim cieniem, moim przyjacielem. Zdarzało się, że ratował mnie z opresji. Czasami wyprowadzał z melancholii i stawiał do pionu. Kupował cytryny, kiedy byłam przeziębiona. Kibicował na zawodach sportowych, czekał na mnie po ustnych egzaminach... Miałam z kim chodzić do kina, bywać na koncertach, śmiać się i złorzeczyć. Miałam kogoś, kto pozwalał mi spokojnie czekać na tę jedną jedyną miłość. Tak przynajmniej wyglądało to wtedy z mojej strony. W każdym razie tak wtedy myślałam.

Na Łukasza wpadłam przypadkiem parę tygodni później. Stało się to w zupełnie nieoczekiwanych okolicznościach. Nasze koło naukowe miało zorganizować z kołem naukowym z AWF-u letni obóz na Mazurach. Mieliśmy wspólnie badać wpływ oparów butaprenu w pewnej fabryce obuwia zlokalizowanej na pojezierzu na wydłużenie czasu reakcji na bodźce wzrokowe i słuchowe w grupie zatrudnionych w niej robotników. Merytorycznie temat był grubo naciągany, grupa badawcza była za mała, grupa kontrolna wybrana bardzo przypadkowo. Nikomu nie zależało na wynikach tych naszych badań. Szczególnie gdyby miały potwierdzić istotne różnice

w dwóch grupach podlegających porównaniu. Na statystycznie istotnych różnicach to już zupełnie nikomu nie zależało, a już najmniej kierownictwu fabryki. Zgodnie z poglądami pani doktor Wolańskiej, prowadzącej nasze koło naukowe, chodziło bardziej o opanowanie narzędzi i metod prowadzenia badań niż o wyniki końcowe. To miało być takie miłe połączenie poznawania metod badawczych z wakacjami na Mazurach. Zapowiadały się wspaniałe trzy tygodnie z odrobiną pracy i mnóstwem wolnego czasu. Marzyłam o spływach kajakowych, dniach pod żaglami, godzinach pławienia się w wodzie, ogniskach, kiełbaskach, dźwiękach gitary i szan-tach... Właśnie mieliśmy dograć szczegóły z tymi z AWF-u, zrobić ostatnie wspólne ustalenia, ustalić termin wyjazdu, policzyć, ile trzeba zabrać namiotów, materacy, kocherów i sprzętu badawczego, który miał nam służyć do pomiaru tego czasu reakcji... Łukasz był przewodniczącym ich koła naukowego. „Ależ pech – pomyślałam z niechęcią. – Że też znowu trafiłam na niego. Czyżby oni na tym AWF-ie nie mieli innych ludzi?”

– Zapomniałem ci się kiedyś przedstawić. – Wyciągnął rękę w moją stronę. – Nazywam się Łukasz Marczyński. Jestem na czwartym roku fizjoterapii.

– Martyna...

Może odrobinę dłużej przytrzymał moją rękę, a może tylko mi się tak wydawało. Ciepły uśmiech, intensywnie niebieskie oczy, silne dłonie, osmagana słońcem twarz, cień zarostu na policzkach, ciemne, kręcone włosy, mocne ramiona... Zaczęliśmy wszystko od początku, od ciepłego uścisku dłoni... Później zagłębiliśmy się w ustalanie terminów i dogrywanie szczegółów wakacyjnego wyjazdu.

– Od was jedzie osiem osób – myślał głośno. – Od nas odrobinę więcej... Ten zakład ma jakiś ośrodek weekendowy położony nad samym jeziorem. Ponoć to niedaleko od samej fabryki, jakieś pół godziny rowerami. Mają tam domki kempingowe. Podobno warunki spartańskie, żaden luksus, ale myślę, że i tak będzie w nich lepiej niż w namiotach. Ponoć lato ma być nie najpiękniejsze... Namioty i deszcz to makabra. Życ się nie da. Może uda mi się zdobyć jakieś dodatkowe dofinansowanie z naszej uczelni... Może tobie uda się z waszej... Ośrodek ma na wyposażeniu rowery wodne i kajaki... W prospekcie widziałem jakąś żaglówkę.

Liczył, przeliczał, kalkulował. Rozmawiał już z dyrektorem tej fabryki. Ponoć będziemy mogli jeść u nich obiady...

Wysłałam ze spotkania oszołomiona. Może ten chłopak wcale nie jest aż tak beznadziejny? Może faktycznie wtedy po zawodach było zupełnie inaczej? Może ja go tylko źle zrozumiałam? Przyjdzie mi spędzić z Łukaszem trzy tygodnie wakacji. Zadzwonił dzień później, bo ponoć zapomnieliśmy dogadać paru szczegółów. Później dzwonił już każdego dnia, z czasem parę razy dziennie, chociaż nie było już zupełnie nic, co nie zostałoby wcześniej obgadane. On miał parę wolnych popołudni, ja też nie byłam jakoś specjalnie zajęta. Sesję miałam już za sobą. Wszystko zdałam w przedterminach. Miałam przed sobą perspektywę prawie czteromiesięcznych wakacji. Zaczęliśmy się spotykać. Najpierw niby przypadkiem, niby z nudów, niby z braku partnera na korcie.

Właśnie wracałam po korepetycjach do domu. Trzy korepetycje pod rząd to była moja granica bólu. Nikogo nie powinno się mierzyć swoją miarą i nikogo do siebie porównywać, bo przecież każdy człowiek jest inny, ale powoli zaczynało mi

czasami brakować cierpliwości. Trudno się za kogoś uczyć. Ciągnęłam leniwie nogę za nogą i próbowałam zaplanować w myślach resztę tego popołudnia. Nagle rozdzwonił się telefon. Spojrzałam na numer. Łukasz.

– Grasz w tenisa? – zapytał bez żadnego wstępu.

– Gram.

– To wspaniale.

– Co w tym wspaniałego? – zapytałam zdziwiona. – W tym ośrodku na Mazurach są korty?

– Tego nie wiem, ale zapytam... Nie dzwonię w sprawie Mazur. Mam dzisiaj o szóstej zarezerwowany kort u nas na AWF-ie. Kumpel się rozchorował. Jesteśmy umówieni na debła z chłopakami z polibudy. Co ty na to?

– Ostatnio grałam parę miesięcy temu... – zaczęłam niepewnie. – Nie jest to moja ulubiona dyscyplina sportu. Grywam rzadko... Najczęściej wtedy, kiedy muszę. – Szukałam w myślach pośpiesznie jakichś argumentów.

– To powiedzmy, że dzisiaj musisz, żeby uratować popołudnie trzem facetom.

– Bo ja wiem... – Grałam na zwłokę. Szukałam jakiegoś rozsądnego i wiarygodnego wykrętu. Jak na złość nic sensownego nie przychodziło mi do głowy.

– Będzie dobrze. – Nie dał mi dokończyć. – Nie ma gorszej hańby niż oddanie spotkania walkowerem.

– Nie jestem z AWF-u. – Próbowałam się jeszcze wykręcić.

– I co z tego? – zapytał zdziwiony. – Nikt przecież nie mówił, że musisz być z AWF-u.

On gra dobrze, ja średnio, w sumie wyszło zupełnie nieźle. Prosto z kortów poszliśmy na naszą pierwszą wspólną kolację. Byliśmy w małej włoskiej restauracji niedaleko mojego

mieszkania. Włoska kuchnia, zapach bazylii i oregano, tymianku i rozmarynu... Toskańskie chianti, migotliwy blask świec, cienie pełzające po ścianach. A na nich włoskie klimaty. Obraz z ciągnącymi się po horyzont wzgórzami Toskanii, z małymi kamiennymi domkami porozrzucanymi na wzgórzach, z polnymi drożynami przypominającymi porozciągane tasienki i wstążki... Wszystko osnute porannymi mgłami, niedopowiedziane i zaczarowane. Jak okiem sięgnąć delikatnie falujące na wietrze łany zielonych jeszcze zbóż, srebrzących się w słońcu kroplami porannej rosy. Na innym obrazie Wenecja, a w Wenecji któryś z bocznych kanałów z przycumowaną przy wejściu do domu gondolą. Zamiast drzwi z framugi zwisała zasłona, która wydawała się jeszcze drżeć, jakby ktoś dopiero przed chwilą wszedł do tego domu... Obok tych drzwi było delikatnie uchylone okno z pojedynczą pelargonią cyklameno- wego koloru. Na tym nie kończyły się weneckie klimaty. Dalej wisiał jeszcze jeden obraz. Przedstawiał dziewczynę siedzącą na schodkach prowadzących do jakiegoś bocznego kanału przy małym, spokojnym campo. Koło dziewczyny leżał ściąg- nięty z głowy kapelusz. Dziewczyna odpoczywała w promie- niach chylącego się ku zachodowi słońca. Miała przymknięte oczy, spadające na ramiona kasztanowe włosy, rozmarzony wyraz twarzy. Wglądała tak, jakby całą sobą chłonęła spokój tego małego, leżącego na uboczu placu. Na przeciwległej ścianie, tuż obok baru, wisiały dziesiątki zdjęć z różnych za- kątek Włoch. Były tam Florencja, Siena, Werona, Neapol... Miała coś w sobie ta restauracja Alessandra. Atmosferę, wy- strój, zapachy, dania i trunki rodem z Italii. Młody włoski kelner mówił z miękkim akcentem. Z tyłu lokalu dobiegały ciche dźwięki fortepianu. Przy jego akompaniamencie jakiś

mężczyzna o ciepłym głosie śpiewał piosenkę o nigdy niekończącej się miłości, która oplata pajęczyną na zawsze. Czułam się oczarowana. Lubię włoską kuchnię, kocham włoskie krajobrazy, lubię melodykę języka włoskiego, kocham piosenki o miłości. Naiwnie wierzę w tę jedną, prawdziwą, na dobre i na złe, na całe życie. Łukasz trafił z tą kolacją u Alessandra w moje klimaty. Siedzieliśmy tam do zamknięcia lokalu. Gadaliśmy jak najęci. Usta nam się nie zamykały. Łukasz i ta jego uczelnia, jego działania na rzecz rehabilitacji dzieci z mózgowym porażeniem dziecięcym, jego treningi w klubie, mecze piłki ręcznej, jego turnieje i wyjazdy... Ja i moja medycyna, miłość do zwierząt, marzenia o dalekich podróżach, korepetycje i wolontariat... Nie mogliśmy się nagadać. Jako ostatni wyszliśmy z restauracji. Tuż za nami zamknięto drzwi. Dochodziła dwunasta. Ulice już dawno opustoszały. Gdziekolwiek tylko stukały po bruku czyjeś pospieszne kroki. Szliśmy noga za nogą, przystawaliśmy co chwilę, jakbyśmy się bali, że droga do mojego domu za szybko się skończy. Staliśmy pod domem godzinę, mówiąc szeptem, żeby nie obudzić sąsiadów. Kiedy kładłam się spać, zaczynało już świtać. Zasnęłam i przyśniły mi się jego uśmiech, blask świec odbity w jego oczach, cienie pełzające po ścianach, tamte obrazy z Wenecji, słoneczne zdjęcia z Italii i piosenka o wiecznej miłości.